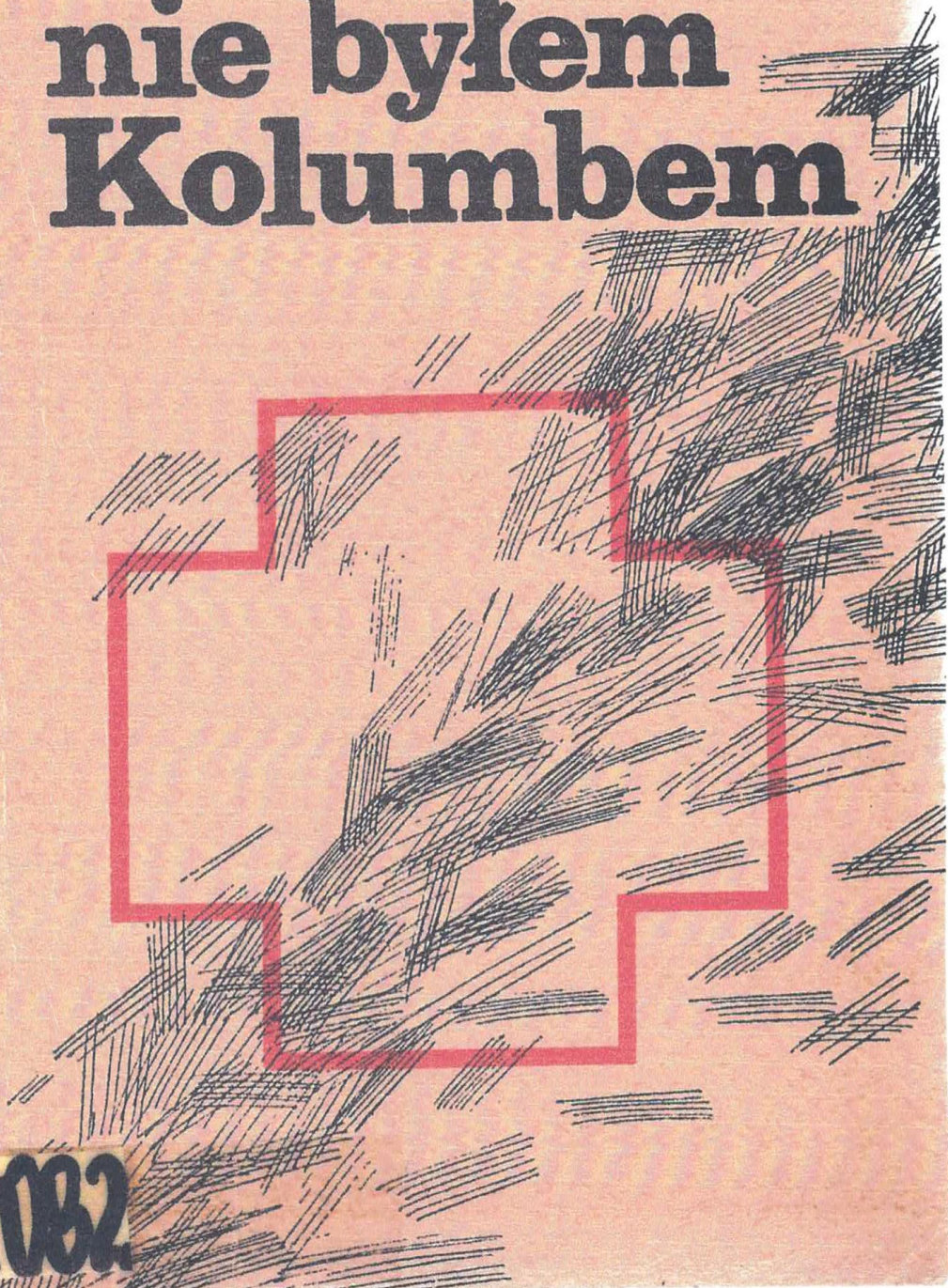


STANISŁAW BAYER
nie byłem
Kolumbem

nie byłem Kolumbem



61.082

przebiła stropy sąsiedniej kamienicy aż do parteru, ale na szczęście nie eksplodowała, upadłszy na tapczan. Przygniotła śpiącego tam mężczyznę, pięćdziesięcotrzyletniego Edwarda Witkowskiego. Przyniesiono go do nas. Musiałem mu amputować lewe podudzie, gdyż zmiażdżona stopa wisiała na strzępach skóry. Drugie podudzie, z wieloodłamowym złamaniem, udało się nastawić i zagipsować.

Od kilku dni ubyla nam dzielna sanitariuszka Basia Kamińska. Około 10 września zachorowała na płonicę. Wprawdzie przy ulicy Wilczej 7 był szpital zakaźny, prowadzony przez doktora Feliksa Przesmyckiego, ale Basia bardzo prosiła, aby ją jakoś urządzić u nas, nie wysyłać do obcych. Znaleźliśmy w suterenach komórkę z oknem, i tam urządziło się nasz jednoosobowy oddział zakaźny. Bardzo było mi żal Basi, bo łatwo można wyobrazić sobie stan psychiczny chorego, izolowanego w takich warunkach, wśród ciągłych odgłosów toczących się walk, wybuchów i stałej groźby zasypania.

16 września przyjąłem w stan chorych „Wróbelka”, szesnastoletniego chłopca. Poszedł do akcji bojowej razem z rodzicami. Ojciec jego, dawny wachmistrz, był strzelcem wyborowym i rzeczywiście korzystał z przydzielonego mu karabinu w sposób mistrzowski. Zabierał na wszystkie stanowiska „Wróbelka”, który dźwigał amunicję i donosił pożywienie; przygotowywała je dla całego plutonu żona wachmistrza, opiekująca się chłopcami jak najlepsza matka.

Tego właśnie dnia, gdy ojciec z synem zajęli jak zwykle stanowiska na strychu jednego z ocalałych domów, poszła w ich kierunku seria ze „Spandau”. Stary miał zadraśniętą głowę, „Wróbelk” został ranny w udo. Zaraz wykonałem zabieg, usuwając pocisk (był to chyba rykoszet), nastawiając złamania i zakładając gips. Chłopak przez cały czas zachowywał się

jak stary wiarus, był bardzo dzielny, tylko wyraźniejsze stały się piegi na jego pobladłej twarzyczce. Ojciec zaraz po opatrunku poszedł odpłacić się Niemcom.

W kilka godzin po „Wróbelku” przybył do nas drugi młodociany bohater, czternastoletni Jacek (nazwiska, niestety, nie pamiętam), dzielnie przez wszystkie dni powstania poczynający sobie w drużynie przeciwpożarowej. Gdy po nalocie zaczęły palić się strychy sąsiedniej kamienicy i nie było chętnych do gaszenia, gdyż wszyscy skryli się w piwnicach przed bombami i ostrzałem, a na barykadzie trwała ciężka walka z nacierającymi czołgami, Jacek wbiegł do obszernej piwnicy z okrzykiem: „Mężczyźni! Za mną do gaszenia!” W pierwszej chwili jego apel pozostał bez echa. Wówczas oświetlił stłoczonych w piwnicy latarką i powiedział z ironią: „Nie wiedziałem, że tyle kobiet nosi męskie ubrania”. To poskutkowało; kilkunastu ratowników pobiegło zasypywać piaskiem fosforowe bombki. Udało się im ugasić pożar, ale snajper z gmachu poczty trafił dzielnego chłopca. Rana na szczęście nie była groźna, postrzał ramienia, ze złamaniem wprawdzie, ale bez uszkodzenia naczyń i nerwów. Skończyło się na opatrunku i założeniu gipsu.

Umieściłem „Wróbelka” i Jacka w pokoiku na parterze, gdzie mieli za towarzysza sześcioletniego nieboraka, w tym czasie już właściwie rekonwalescenta. Jego przybycie do szpitala mimo wstrząsu, jakiego doznawałem zawsze na widok pokaleczonych drobnych ciałek dziecięcych, nie było pozbawione momentów humorystycznych. Malec hasał gdzieś po podwórzu, gdy w pobliżu eksplodował pocisk z granatnika. Chłopiec był odwrócony bokiem i chyba pochylony, gdyż kilkanaście odłamków utkwilo w mięśniach pośladków, rozrywając spodenki. I te właśnie spodenki, podziurawione jak sito, wprawiły chłopca w bezgraniczną rozpacz.